

PRAWDA



Napisał: Jacek Sawaszkiewicz

Ilustrował: Cyprian Koscielniak

Przyznaję, przywiodła mnie tutaj zawodowa i przyrodzona ciekawość.

Mąż mój, archeolog, wertując któregoś niedzielnego popołudnia stare annały, spojrzal w moją stronę znad opuszczonych na czubek nosa okularów, zabębnił palcami po rozłożonych kartkach i powiedział:

– Zabawne. Ted Iglstroem już przed pięćdziesięciu laty wyjaśnił zagadkę pochodzenia kraterów w Karolinie, a moi szefowie zastanawiają się, czy nie wysłać tam kolejnej ekspedycji badawczej.

– To ten dziwak? – spytała nasza szesnastoletnia córka, Miriam.

Ojciec popatrzył na nią z przyganą.

– De mortuis aut bene, aut nihil – rzekł, jak zwykle aż kipiąc od sentencji.

– Plutarch – zakończyła córka. – Ale Iglstroem nie umarł. Mieszka na wyspie San Salvador. Wiem o tym od Eweliny, bo jej ciotka, ta, co się jąka...

– To jego brat Thor – sprostował mój małżonek. – Ted Iglstroem zginął pół wieku temu... Niepotrzebnie szukał dowodów na poparcie niedorzecznych hipotez... Taki zdolny naukowiec...

Nadstawiłam uszu.

– Co to za hipotezy?

Mąż poprawił okulary, mruknął: „bzdura” i wrócił do lektury. Więcej nie trzeba było, aby zaostrzyć moją ciekawość. Nazajutrz zatelefonowałam do redakcji, poprosiłam o dwa dni urlopu i wcześniej rano na pokładzie sanitarnego helikoptera udałam się na wyspę San Salvador. Drogę do domku Thora Iglstroema wskazała mi pielęgniarka z miejscowej placówki medycznej.

* * *

Siedzę teraz naprzeciw czerstwego mężczyzny, którego nikt nie nazwałby starcem przed zerknięciem do jego metryki. Jest zupełnie siwy, tylko biel brody przetykają mu wątle pasemka miedzi. Spod krzaczastych brwi patrzą na mnie jasne, nieduże oczy. Iglstroem ma na sobie błękitną, flanelową koszulę, w której, przy tym upale, nie wytrzymałabym ani minuty, i grube, drelichowe spodnie, wypłowiałe

i nieudolnie połatane. Nagie, kościste stopy wcisnął pod fotel; dochodzi stamtąd chrzęst wyschniętych rzemieni sandałów. Na obdrapanej gołej ławie leżą przedmioty wydobyte przed pół godziną ze zwalistego kufra, rozpieającego się między koślawą szafą a zapadniętym wyrkiem. Z ich przeznaczeniem Iglstroem przez kwadrans usiłował mnie zapoznać. Sączę zamrożoną cocę i wystawiam twarz do powiewu płynącego od wentylatora. Słucham. Iglstroem opowiada zduszonym głosem; jego słowa, w zapachu gnijących wodorostów, którym to wszystko jest przesycone, brzmiają posępnie, są pełne rezygnacji.

– Nadałem depeszę do Jacksonville, do brata, żeby przyleciał tu, na tę wyspę, bo mam dla niego rewelacyjną wiadomość – tak napisałem. – Brat zjawił się, gdy tylko opracował „Raport o kraterach”. Zaprowadziłem go do Turquito – tego starego rybaka, co przeżył „gniew boga wody”. Usiedliśmy przed chatą. Wyciągnąłem butelkę, tytoń i konserwy. „Opowiadaj, Turquito” – powiedziałem. – Turquito milczał. Patrzył to na niebo, to na zatokę oddzieloną od morza przez rafę koralową, to na swe dłonie, przy których moje, zgrubiałe i chropowate przecież, wyglądały jak dłonie niewiasty nie mającej do roboty nic prócz haftowania i kartkowania książek. „Rybacy wypływają przed wschodem słońca – zacząłem za niego, a brat przyglądał mi się sceptycznie. – Upał nie daje się wtedy we znaki, no i ryba nie schodzi zbyt głęboko. Turquito wypłynął razem z innymi. Już po pierwszym zaciągu mógł wracać – tak obfity był połów. Wszelako Turquito nie wracał: słońce właśnie weszło, pod powierzchnią wody roilo się od ryb, jak w stawie hodowlanym – Turquito postanowił jeszcze raz zarzucić sieć”. Rybak wydał wargi i przytaknął moim słowom. Wyraz przygnębienia i bezsily na jego twarzy upodabniał go do zniedołężniatego Indianina, którego wojownicy zostawiają w obozie z kobietami. „Chciwość – wymamrotał. – Kara za chciwość...” Przy butelce calvadosu rozwiązał mu się język. Turquito mówił z lekkiem, nie zapomniawszy jednak o żadnym szczególe. Według jego relacji, wprzód zauważył zaniepokojenie wśród ryb. Potem zorientował

się, że to nadciąga. Wokół łodzi morze wyglądało jak lustro, wiatr zamarł, zaległa dokładna cisza. Ryby pierzchły, pojawiły się natomiast gronorosty. Narastało delikatne syczenie. Łódź zdawała się wynurzać; Turquito zabrakło w płucach powietrza, a żołądek podszedł mu do gardła. Raptem syczenie ustało. Olbrzymi ciężar przyniółł rybaka do dna łodzi, łódź nabrała wody, w powietrzu gęstniała lepka mgła...

Thor Iglstroem przerywa. Uśmiecha się wyrozumiale i jakby wstydliwie.

– Turquito począł bajdurzyć o bogu, który wychynął z morza – podejmuje. – Bałem się, że

brat wstanie zniecierpliwiony i odejdzie, ale Ted wprost chłonał każde słowo starego. Wreszcie Turquito wyjawil, jak bóg w laskawości swojej pozwolił mu wrócić na wyspę. Przygniatający Turquito ciężar ustąpił, łódź płynęła niemal w przestrzeni; znowu rozległo się syczenie, powierzchnia wody jęła wrzeć, a potem z morza ku niebu lunął deszcz. Z morza ku niebu – Iglstroem wpatruje się we mnie.

– Zdumiewające – stwierdzam. Odklejam materiał bluzki od ciała, pozwalam, aby powiew z wentylatora ochłodził mój dekolt.

– Zostawiliśmy Turquito konserwy i tytoń, Ted dodatkowo wcisnął mu kilkadziesiąt dola-



rów, i ruszyliśmy do domu. „To »trójkąt śmierci«?” – spytał retorycznie brat; szedł zamyślony i podekscytowany. Nie widziałem go jeszcze tak podekscytowanego. Stało się dla mnie jasne, że połknął bakcyła tej zagadki, że nie ustąpi, nim jej nie rozwiąże, że od dzisiaj nie będzie dla niego ważniejszej sprawy. Taki był od dziecka, zawsze przewodził grupie; koledzy dobrowolnie poddawali się jego kierownictwu. „Możesz ten rejon nazywać trójkątem albo rombem – powiedziałem – podobnie zresztą jak tamten, położony antypodycznie względem bermudzkiego, poniżej wyspy Honsiu. Są to jednakże określenia nieściśle,

oba rejony bowiem mają w rzeczywistości kształt elipsy. Koordynaty wszelkich tajemniczych katastrof naniesiono na mapy mechanicznie, później ktoś bez wyobraźni, przyłożył liniał, pociągnął trzy lub cztery kreski i zadowolił się otrzymaną figurą – trójkątem czy rombem”. Brat zachowywał spokój, odnosiłem wrażenie, że nie zwraca uwagi na moją gadanię, dlatego dorzuciłem: „Turquito był pierwszym naocznym świadkiem tego zjawiska, jest pierwszym, który je przeżył. Dotąd znajdowano najwyżej szczątki sprzętów, nigdy natomiast nie znaleziono człowieka, choćby martwego”. Ted odparł coś bez sensu, a gdy



dobrnęliśmy do domu, stanął przed wejściem, zajął mi w oczy i zagadnął zniemka: „Ty również sądzisz, że to są lokalne zakłócenia grawitacji?” Nie zaprzeczyłem, bo odgadł moje myśli. „Takie zakłócenia – ciągnął w zadumie – tłumaczyłyby, dlaczego w stanie Karolina aż gęsto od kraterów pometeorytowych. Wzmoczona, niechby tylko okresowo, grawitacja działać może na meteoryty niczym swoisty magnes. Większość z nich zostaje przez pole grawitacyjne przechwycona i ląduje w oceanie bez śladu. Pozostałe – przelatujące nad tym rejonem – których moment pędu przewyższyć zdoła pole grawitacyjne, spadają nieco dalej od epicentrum, niemniej w pobliżu „trójkąta” czy – jak wolisz – „elipsy śmierci”. Część z nich trafia w strefę przybrzeżną kontynentu”.

Robi mi się nieswojo; wszak mieszkam we wspomnianej strefie. Iglstroem uspokaja mnie, jak wystraszoną dziewczynkę. Skrzyjąc sandałami podchodzi do kufra, wyjmując z niego wyblakłą mapę, rozkłada ją przede mną, stuka zgitym palcem w odręczne szkice pokrywające Morze Sargassowe i szepce:

– Aktywność pola grawitacyjnego w „elipsie śmierci” wzrasta niesłychanie rzadko, jeszcze rzadziej meteoryt większy od ziarenka grochu dociera do Ziemi, a już wyjątkowego trzeba trafić, żeby taki meteoryt znalazł się nad „elipsą śmierci” akurat w momencie, kiedy wzmagą się jej aktywność. Kratery, które badał Ted, powstały w ciągu dziesiątków tysięcy lat.

Jestem mniej niespokojna. Iglstroem dostrzegł to i jest z siebie zadowolony.

– Za tym, że w „elipsach śmierci” występują zakłócenia właśnie grawitacyjne – kontynuuje – przemawiają wszystkie dokonane przez Turquito obserwacje, oprócz, rzecz oczywista, rzekomego boga wody. Zakłócenia ogniskują się na obszarze ledwie kilku kilometrów kwadratowych i pojawiają się w różnych rejonach „elipsy śmierci”, zależnie od okoliczności. Turquito, na swoje szczęście, przebywał na granicy takiego ogniska.

Pierwszy impuls grawitacyjny był ujemny, osłabił lokalnie przyciąganie ziemskie. Ciśnie-

nie atmosferyczne gwałtownie spadło, powietrze rozrzedziło się, toteż Turquito z trudem łapał oddech, zmalało zanurzenie łodzi. Następny impuls, dodatni, zsumował się z grawitacją ziemską. Ciężenie rozplaszczyło Turquito na dnie, łódź zapadła głębiej, napłynęło powietrze, a wraz z nim mgła. Trzeci impuls był ujemny, jak pierwszy, tyle, że o większej mocy. Ciśnienie spadło do tego stopnia, że powierzchnia wody jęła kipieć; łódź wynurzyła się niemal że całkowicie, zaś porywane intensywnym wrzeniem cząsteczki wody szybowwały ku niebu. Turquito nic nie wspominał o swych ponownych kłopotach z oddychaniem, ale primo: znajdował się na granicy ogniska, gdzie, zgodnie z prawami fizyki, winny występować turbulencje wciąż napływających mas powietrza; secundo: powodowany przerażeniem, zapewne wiosłował bez tchu lub – co bardziej prawdopodobne – stracił przytomność, a zawirowania prądów morskich wyniosły jego łódź poza zagrożoną strefę. Cud, że jego organizm zniósł tę dekompresję...

Dokładnie, wielokrotnie i wszechstronnie omówiliśmy z Tedem objawy grawitacyjnych anomalii. „Przeciwnie usytuowanie obu elips śmierci – stwierdził Ted – zwłaszcza nie spotykane w przyrodzie ukierunkowanie i koncentracja pola grawitacyjnego, wyklucza możliwość samoistnego i naturalnego powstania takiego pola, wyklucza również możliwość, że pole to pochodzi z wnętrza naszej planety, nie wyklucza natomiast możliwości, iż mamy do czynienia z wiązką grawitonów bombardujących Ziemię z zewnątrz i przenikających ją. W związku z tym nasuwa się pytanie: Kto i w jakim celu wysyła tę wiązkę? Bo że została ona wytworzona sztucznie – jestem dogłębnie przekonany”.

Zrazu przyszło mi do głowy, że to próba kontaktu. Współ z bratem rozważyliśmy, a następnie odrzuciliśmy tę koncepcję. „Wydaje mi się – powiedziałem – że rozwiązania należy szukać w kształcie elips, ich trwałych przywiązaniach do terenu, oraz w rozmieszczeniu ognisk i rytmie zaburzeń grawitacji. Ponadto warto by ustalić położenie Ziemi podczas występowania tych zaburzeń”. „To zby-

teczne – odrzekł Ted. – Już teraz mogę cię zapewnić, że elipsy wykazują aktywność zazwyczaj wtedy, gdy Ziemia zajmuje określoną pozycję w przestrzeni kosmicznej. Powinniśmy raczej rozpocząć od zarejestrowania przynajmniej jednego pełnego cyklu zakłóceń grawitacyjnych”.

Thor Iglstroem prostuje plecy, nabiera do płuc powietrza. Koszula pod jego pachami ciemnieje od wilgoci. Mężczyzna wzdycha ciężko. Tłumaczy się:

– Proszę pani, wiedziałem, jaki los spotkał tysiące kutrów i łodzi rybackich, setki statków i stateczków, dziesiątki samolotów, które przypadkowo znalazły się w zasięgu działania ogniska, z jakiego cudem umknął stary Turquito; widziałem roztrzaskane szalupy i kawałki pokładu, rozdarte skrzydło samolotu zaplątane w sieci, bezkształtną masę stalowych lin i żurawików ciśniętą podmuchem na rafę koralową, a przecież nie wydusiłem z siebie słowa protestu, kiedy Ted oświadczył, że wynajmie kuter, zainstaluje na nim aparaturę pomiarową i wypłynie na morze; nie próbowałem go odwieść od tego ryzykownego zamiaru, powstrzymać go perswazją; on i tak by mnie nie usłuchał... Moje nalegania, żeby zaniechał tej karkołomnej wyprawy, odniosły wręcz odwrotny skutek. Tym swoim nawykłym do wydawania dyspozycji głosem zdecydował: „Zostaniesz tutaj, przy grawitografie. Dopilnujesz, by rejestracja przebiegała bez przerw, będziesz zmieniać szpule i czuwać nad zasilaniem”.

Trzy dni zajął nam montaż grawimetru na pokładzie „Roncadora” – wynajętego kutra. Potem Ted... – Thor Iglstroem przetyka ślinę. – Mieliliśmy ze sobą ciągłą łączność, brat rzadko z niej korzystał, przeważnie ja rozpytywałem. Teda interesowała głównie praca grawitografu. Grawitograf odbierał sygnały płynące z zamontowanego na „Roncadorze” grawimetru i kreślił linię, leciutko sfałdowaną, bo to był diabelnie czuły przyrząd, a grawitacja ziemska nie jest doskonale stała. Tylko raz brat dał się wciągnąć do dłuższej rozmowy. Było to wieczorem, siódmego albo ósmego dnia jego dryfowania po elipsie. Przypuścił wówczas, że strumień grawitonów, jaki przenika Ziemię,

jest nośnikiem informacji przesyłanej między jedną wysoko rozwiniętą cywilizacją a drugą i że Ziemia spełnia rolę wzmacniacza lub przekaznika.

Po dwóch tygodniach Ted wrócił na ląd, żeby uzupełnić zapasy żywności i wody. „Co rozumiesz pod nazwą przekaznik w odniesieniu do Ziemi”? – zapytałem go. „Może strumień grawitonów załamuje się w jądrze naszego globu, aby podążyć dalej w pożądanym kierunku – odparł. – Sprzyjające kontaktowi warunki występują jedynie w momencie, gdy Ziemia zajmuje takie położenie, że widać ją z obu kontaktujących się ze sobą układów. To wyjaśnia, dlaczego ogniska zaburzeń grawitacyjnych spotykane są wyłącznie na ograniczonym obszarze, dlaczego pojawiają się w różnych miejscach tego obszaru i dlaczego elipsy nie wędrują po całej planecie”.

Na drugi dzień Ted opuścił wyspę. W środku nocy zbudził mnie jego krzyk dobiegający z radiostacji. „Thor, zaczyna się, zaczyna! – wykrzykiwał. Był uradowany. – Jestem sto dwadzieścia sześć mil od brzegu! Nie znam współrzędnych, bo tu wszystko wysiadło! Kontroluj zapis!” Rzuciłem okiem na wstęgę wpływającą z grawitografu, tę tutaj.

Thor Iglstroem bierze do ręki rolkę szerokiej taśmy papierowej, rozwija ją. Widzę krzywą podobną do elektrokardiogramu, lecz o łagodnych i długich grzbietach.

– Włosy mi się zjeżyły, jak zobaczyłem te skoki grawitacji; niech pani popatrzy – podaje mi taśmę. – Ted musiał się czuć niczym w przedpieklu albo jak gdyby leciał w walczącym z żywiołem samolocie, prowadzonym na dodatek przez oszalałego pilota. „To niesamowite zjawisko!” – zawołał w pewnej chwili. A w parę sekund później krzyknął: „Straciłem grunt pod nogami; nie wiem, gdzie góra, a gdzie dół, wszystko się tu przewala i kotłuje, wokół zieleni i woda; masy wody!” Jego głos nie był już radosny, pojawił się w nim lęk. Wrzeszczałem do brata, żeby się trzymał, żeby zawracał, żeby chwycił się czegoś lub położył na dnie, żeby spróbował dotrzeć do koła ratunkowego; pytałem, jak mu mogę pomóc...

Ted przestał się odzywać, słyszałem tylko loskot, wkrótce radiostacja w ogóle zamilkła.

Do świtu lazałem wzdłuż brzegu. Rano powiadomiłem władze o wypadku, zorganizowałem akcję ratowniczą. Minął miesiąc, poszukiwań zaprzestano...

Nasza rozmowa przez radiostację nie była nagrywana. Celowo nie kupiłem magnetofonu, aby Ted nie pomyślał, że chcę utrwalić jego wrażenia i obserwacje na wypadek, gdyby nie było komu ich powtórzyć. Magnetofon podłączony do radiostacji świadczyłby, że przypuszczam, iż brat nie wyjdzie cało z tej wyprawy.

Po trzech czy czterech miesiącach wziąłem do ręki tę taśmę. Gapiłem się na ten przeklęty grawitogram, gapiłem, jakby zawierał receptę na wskrzeszenie Teda. Zapisana krzywa potwierdzała nasze... brata przypuszczenia. W elipsie śmierci – dopiero wtedy uświadomiłem sobie grozę tej nazwy – rzeczywiście występowały zaburzenia grawitacji. Czy rytmy owych zaburzeń, kolejne sekwencje impulsów dodatnich i ujemnych, niosły jakąś informację – nie sprawdziłem nigdy. Ale któregoś popołudnia...

Iglstroem rozwija szpulę, kładzie przede mną fragment taśmy.

– Któregoś popołudnia, wpatrując się w grawitogram, spostrzegłem te oto ząbkowate zniekształcenia szczytów. Trwały krótko, podczas jednego z ostatnich impulsów grawitacyjnych i nie potwórzyły się więcej. Są ledwo uchwytny, prawda?

Pochyliam się nad taśmą i kiwam głową, aczkolwiek mało co widzę. Sprawiam Iglstroemowi przyjemność.

– Proszę pani – zwraca się do mnie niemal uroczystym tonem – jeżeli w pobliżu magnetofonu, który jest włączony na zapis i który nagrywa audycję wprost z gniazda diodowego radioodbiornika, a zatem bez pośrednictwa mikrofonu, zakaszlemy głośno, to nasz kaszel wprawi w drżenie membranę, a w konsekwencji spowoduje indukcję i przepływ słabego prądu przez cewkę głośnika. Stamtąd prąd popłynie przez kolejne podzespoły, aż trafi do głowicy i wraz z nagrywaną audycją zostanie utwalony na taśmie. Odtwarzając audycję, nie złowimy uchem nagranych kaszlu, bo po pierwsze – jest zbyt słaby w stosunku do

głównego zapisu, po drugie – zmiesza się z innymi szumami. Ale odpowiednio selektywny i czuły miernik wykryje ów kaszel. Takim kaszlem są te właśnie ząbki, miernikiem zaś, który go wykrył, był grawimetr. Wspomniany kaszel, naturalnie, należy traktować tu umownie, pewne natomiast jest, że przechwycony przez grawimetr impuls modulowały niezamierzone dźwięki. Tak, dźwięki. Wszak kaszel to także dźwięk, a przecież można go zamienić w drgania elektryczne lub magnetyczne. Cóż więc stoi na przeszkodzie, żeby – używając stosownych przetworników – nie przekształcić go w drgania grawitacyjne?

I to już chyba wszystko; z winy ludzi... Bo ludzie nie pozwolili, aby ta historia miała swój koniec. Jest pani chyba ciekawa, czy udało mi się odczytać tę falę, która modulowała impuls, a dokładnie – jeden z impulsów podstawowych. Poniekąd – tak. Nie będę pani zanudzał sprawozdaniem, ile się nabiegałem i namolestowałem dyżurnych „Multilingwy”, żeby pomogli mi zapisane drgania przełożyć na dźwięki i przetłumaczyć je. Dopiero wpływ moich przyjaciół spowodował, że językoznawcy i kryptolodzy z Atlanty udostępnili mi łącze do „Multilingwy”.

Thor Iglstroem, zdenerwowany, szarpie brodę. Patrzy w otwarte drzwi, za którymi ciągnie się plaża.

– Trudno mieć pretensję do maszyny za brak wyobraźni, ale ten elektroniczny tłumacz to bezprecedensowy idiota – cedzi z irytacją. W następnej sekundzie ożywia się: – Słyszałem dźwiękową wersję tych drgań. To były słowa, to są słowa wypowiedziane przez istotę posługującą się mową! Można rozróżnić poszczególne sylaby, wyraźnie przebijają z nich rozkazujący ton. Wyimaginałem sobie taką scenę: Na odległej planecie operator włącza nadajnik grawitonowy i kieruje wiązkę grawitonów w stronę Ziemi, która wnet zajmie sprzyjającą do kontaktu pozycję. Emitery wysyłają pierwsze informacje. Aż naraz w przewodach zanika energia. Do hali nadawczej wpada dyspozytor. Kryczy od progu: „Skoryguj pole! Natychmiast skoryguj pole!” Od krzyku drży konstrukcja nadajnika, jej drżenie przenosi się na podzespoły i transformuje w impulsy, które

wraz ze skorygowanym tymczasem polem docierają do podejmujących pracę emiterów, a stamtąd – na Ziemię. „Multilingwa” nie potrafiła jednak wyobrazić sobie takiej sceny, nic jej nie obchodziła istota problemu; na moje indagacje niezmiennie odpowiadała: ZERO. W Instytucie Językoznawstwa zaczęto patrzeć na mnie nieufnie, wreszcie, gdy uznano, że jestem nieszkodliwym dziwakiem – z ironią i niecierpliwością. Nie lubię być natrętny i stosunkowo łatwo poddaję się przeciwnościom losu, toteż poniechałem dalszych prób z „Multilingwą”.

Thor Iglstroem zwija taśmę, dźwiga się z fotela, na powrót utyka swoje drobiazgi w kufrze. Wstaje i ja. Wentylator chłodzi teraz mój brzuch, a z góry leje się na mnie żar. Nie wiem, co powiedzieć na pożegnanie. Bąkam parę frazesów, ściskam Iglstroemowi dłoń. Jego twarz nie wyraża niczego, jakby uczucia dawno się w nim wypaliły.

Idę brzegiem, dość szybko, bo helikopter sanitarny, którym przyleciałam, wraca do Jacksonville za dwadzieścia minut. Od morza dmie łagodny wietrzyk, usuwa przykry zapach śniętych ryb. Na drodze do szpitalika stoi młody mężczyzna. Pod pachą trzyma zwinięty w kłęb kitel. Okazuje się, że czeka na mnie. Jest miejscowym lekarzem, rentgenologiem. Pyta, czy rozmawiałam z Iglstroemem. Potwierdzam.

Mężczyzna uśmiecha się, przechodzi na moją lewą stronę. Drobimy wolniutko w stronę połowego lotniska. Gorący piasek ustępuje pod stopami.

– Proszę mi tego nie brać za złe – mówi mężczyzna – ale pragnę, aby miała pani plastyczny obraz tamtych zdarzeń. Iglstroem faktycznie odebrał sygnały, rzecz w tym jednak, że pochodzenie ich nie było, niestety, kosmiczne.

Nasz szpital wzniesiony został na fundamentach dawnego obserwatorium geofizycznego. Na płycie, na której ongiś stał sejsmograf, zainstalowano aparaturę rentgenowską. Płyta posadowiona przez Iglstroemów pod ich grawitograf, zbiegiem okoliczności, miała te same drgania własne, co płyta pod rentgenem. Słyszała pani o rezonansie mechanicznym? Taki rezonans, za pośrednictwem aparatury rentgenowskiej i płyty, na której ona stała,

wywołał poprzedni rentgenolog. Zatrudniał on asystenta, nicponia, jakich mało. Asystent nie przykładał się do roboty, często zdarzało się, że prześwietlił zdjęcia, co doprowadzało rentgenologa do furii. Jedna z awantur wybuchła w dniu, kiedy pracował grawitograf Iglstroemów. Złorzeczenia rentgenologa wprawiły w drgania konstrukcję nośną aparatury, a następnie płytę, skąd w postaci infradźwięków dotarły do płyty dźwigającej grawitograf Iglstroemów; rezonans przeniósł się na ramię pisaka, który utrwalił owe złorzeczenia na taśmie papierowej. Rentgenolog był Kreolem, łatwo ponosił go ognisty temperament, a gdy kłął, czynił to wyjątkowo głośno i w swojej gwarze. „Multilingwa” zna wszystkie języki i narzeczka, ale nikt nie nauczył jej przekleństw, dlatego nie potrafiła pomóc Iglstroemowi.

Wsiadam do helikoptera, choć pilota jeszcze nie ma. Lekarz niknie w wejściu do budynku szpitalnego. Patrząc za nim i zastanawiam się, w jakim celu powiedział mi to wszystko. Przecież w całej tej historii nie są ważne słowa, bez względu na to, czy wykrzyczał je rozwścieczony rentgenolog, czy też pozaziemska istota. Z dziwnym uporem ludzie nie chcą przyjąć do wiadomości zasadniczego aspektu odkrycia Iglstroemów: wyjaśnienia zagadki elipsy śmierci i pochodzenia ognisk zaburzeń grawitacyjnych. Wszak zarejestrowane przez Iglstroemów zaburzenia dobitniej świadczą o istnieniu pozaziemskich cywilizacji niż choćby autentyczne nagranie głosu dobiegającego z przestrzeni kosmicznej.

Dlaczego większą wagę przywiązujemy do niewiele znaczących omyłek aniżeli do osiągnięć naprawdę ważkich, które na dobitkę usiłujemy pomniejszać albo wręcz ich nie dostrzegać? Czyżbyśmy wyznawali zasadę: „Nie prawda, lecz precyzja” – jakby zakonkludował mój mąż?

I jeszcze jedno: Przebieg zakłóceń grawitacyjnych w elipsie śmierci – zatem serię impulsów, wśród których znalazł się także jeden zmodulowany przez tajemniczą falę – grawitograf Iglstroemów zarejestrował nocą! A w nocy gabinet rentgenologiczny nigdy nie był czynny...